

## ***Pamiętam ten dzień, kiedy pomogłem...***

Pamiętam okres mojego dzieciństwa. Rodzice w pracy – długo, od rana do wieczora. Często wracali tak późno, że musieliśmy spać u babci, u której to spędzaliśmy z bratem najwięcej czasu zaraz po naszym przedszkolu. Nie wiem kiedy wydarzyło się to pierwszy raz, ale za każdym razem gdy mama wracała wcześniej z pracy (bądź w sobotę) do babci z zakupami, byłem przeszczeniwy i robiłem coś, co dziś jest raczej uciążliwością aniżeli powodem do radości. Przenosiłem i rozpakowywałem zakupy. Nie jestem pewien, ale też nie mogę być gdy chodzi o tak wczesny rozdział mojego życia, jednak wydaje mi się że mogła to być pierwsza rzecz, w jakiej w życiu z własnej woli pomogłem. Teoretycznie może się to nie wydawać niczym niezwykłym, w końcu wielu z nas sprawiało to przyjemność: pokazać swoją siłę rodzicom dźwigając niewiarygodnie ciężkie torby z zakupami, pomimo że do przenoszenia dostawaliśmy zawsze zaledwie kilka produktów, by nie nadwyrężyć naszych wątłych ramion i pleców. Zawsze myślałem, że przecież tak właśnie było, że chciałem po prostu zaimponować mamie, babci, dziadkowi, młodszemu bratu, kuzynom i pokazać tacie, że wkrótce będę tak silny jak on i będę mógł mu pomagać z tymi wszystkimi zepsutymi sprzętami, którymi nieraz musiał się zajmować. Dopiero niedawno, widząc swojego najmłodszego brata (młodszego o całe dziesięć lat), próbującego dźwignąć zdecydowanie zbyt ciężką dla niego torbę powiedziałem: „Spokojnie! Wezmę to! Dlaczego tak bardzo chcesz pomóc? Widzisz przecież, że tego nie udźwigniesz”. W odpowiedzi usłyszałem coś, o czym wcześniej nie pomyślałem: „Nie chciałem, żebyście tylko wy się tak męczyli”. Było to trochę zabawne – mały, trzyletni chłopaczek, który chce pomóc dźwigać większą od siebie torbę dziesięć lat starszemu i trzy razy większemu bratu. Jednak drobna twarzyczka zastygła w poważnym i nieco smutnym już teraz grymasie. Pozwoliłem mu więc złapać za jedno ucho dużej torby i nieśliśmy ją razem przez całą drogę, tj. z przedpokoju aż do kuchni. Młody oczywiście promieniał radością i dumą, po czym rzucił się do pomocy w rozpakowywaniu rzeczy z siatki, co i tak udało mu się tylko dzięki temu, że z każdą z nich podchodził do mnie i pytał gdzie należy ją schować. Po ukończeniu swego jakże chwalebne zadania, zmęczony ale szczęśliwy młody pomocnik udał się na zasłużony odpoczynek, a ja wspominałem te chwile gdy to mnie pomaganie w czymkolwiek sprawiało taką radość. Wtedy też przypomniała mi się jego odpowiedź sprzed chwili: „Nie chciałem, żebyście tylko wy się tak męczyli”. Czy ja nie czułem się tak samo? Przecież wiedziałem, że rodzice nie zostawiają nas z dziadkami po to, by sobie od nas odpocząć. Ba, nawet by mi to przez myśl nie przemknęło. Wtedy praca kojarzyła się tylko z czymś niewiarygodnie ciężkim, co dla mnie było równoznaczne z pisaniem szlaczków przez około dziesięć godzin dziennie, czyli mówiąc w skrócie, niewyobrażalne męczarnie. Widziałem jak babcia i dziadek się przy nas gimnastykują, by dostarczyć nam rozrywki na nudniejsze pory dnia; posiłki, głównie śniadanie czy podwieczorek, które taki francuski piesek jak ja przyjmował najczęściej prychnięciem; pomoc naukową, która w niektórych przypadkach okazywała się niezbędną, by przebrnąć przez odmęty zadania domowego. Przypominałem sobie wszystkie te rzeczy mając już pewność, że nie pomagałem tylko dla własnej satysfakcji i próżności, ale w ramach odpłaty za to wszystko, co oni dla mnie robili. Ja mogłem zrobić chociaż tyle! Zastanowiło mnie, kiedy moje pojmowanie pomocy innym ograniczyło się jedynie do możliwości zaimponowania komuś. W tym samym momencie uświadomiłem sobie, że jest jeszcze gorzej, bo pomaganie jest dla mnie karą. Za karę pomagałem w obiedzie, w sprzątaniu domu, w ładowaniu węgla do piwnicy i później do pieca. Wszystko, co wychodzi poza typowy przydział moich obowiązków domowych czy szkolnych, jest dla mnie karą. Jak mogło do tego dojść? Byłem pewny, że przecież jestem dobrze, a powiedziałbym wręcz świetnie wychowany. Miałem szacunek do starszych od siebie, nie przeszkadzało mi stanie w autobusie pół godziny, gdy trzeba było ustąpić miejsca starszej pani, nie męczyło mnie pomaganie dziadkowi w zakupach i targanie ich w ciężkiej torbie na kółkach przez pół miasta, nie irytowało siedzenie u babci i wysłuchiwanie opowieści cioci, której nawet nie znałem, o tym jaki to kawaler przystojny ze mnie wyrósł, ale te włosy to bym mógł ściąć, bo wyglądam jak dziewczynka. W każdej z tych sytuacji miałem świadomość, że nieuprzejme byłoby okazać rozdrażnienie, zniecierpliwienie czy znudzenie. Wiedziałem, że mam wobec starszych osób pewne zobowiązania, których muszę dotrzymywać

żeby nie wypaść źle. Ale czy to oznacza, że tak naprawdę wszystko robię na pokaz? Od tego momentu zacząłem poważniej zastanawiać się nad sobą. Czy nie jest przypadkiem tak, że szacunek jest raczej wyuczonym odruchem aniżeli świadomie przestrzeganą wartością, wartością piękną i jedną z najważniejszych. Musiałem znaleźć w sobie na powrót tę chęć do pomagania, do spełniania dobrych uczynków tak, by towarzyszyło mi to samo uczucie, które kiedyś popychało mnie do pomocy rodzicom w rozpakowywaniu zakupów. Tylko jak to zrobić, gdy wszystko jest dla ciebie uciążliwe i tak naprawdę najchętniej nie robiłbyś nic? Odpowiedź może być tylko jedna i jest ona równie oczywista, co trudna do wykonania. Przestać być tak strasznym leniem. Tylko od czego zacząć? Jak zabrać się do pozbycia się przywary, która zatruwała moje życie zdecydowanie zbyt długo?

Pamiętam ten dzień, kiedy pomogłem. Miało to miejsce w czasie okresu przedświątecznego. Chłodny wiatr hulał po ulicach i parkach, nie dając jednak nadziei na słynne i dawno niewidziane białe święta. Trochę czasu minęło, od kiedy rzuciłem sobie wyzwanie by zostać lepszym człowiekiem. Od tego czasu nie osiągnąłem prawie nic poza tym, że jestem jak najmilszy dla ludzi spotykanych przelotnie bądź rzadko, jak nauczyciele, sprzedawczynie, kościelny, czy starzy znajomi, z którymi nie utrzymuję kontaktu. Jednak czuję ten dyskomfort wiążący się z faktem, że przecież wciąż jest tylko maska (choć niektórym z tych ludzi mogłem choć trochę poprawić dzień swoim nastawieniem, który to fakt pozwalał mi się poczuć lepiej).

Jechałem właśnie do babci do Kędzierzyna. Babcia od niedawna mieszka sama, więc chciałem zacząć ją częściej odwiedzać, żeby nie czuła się samotna, a przy okazji mógłbym jej w czymś pomóc. Mieliśmy pomóc w ubieraniu choinki, której pierwszy raz nie mógł już ubrać dziadek. Tato, pochłonięty świątecznymi obowiązkami, musiał nas zostawić samych, co w żaden sposób nie utrudniło sprawnego i w miarę szybkiego postawienia choinki i późniejszego jej ubrania. Na tym jednak praca w żadnym wypadku się nie kończyła. Do wykonania pozostało jeszcze odkurzenie, wycieranie kurzy, uporządkowanie wszystkiego co tylko się dało w całym domu i umycie podłogi. Po wszystkim okazało się, że mamy już wieczór i tego dnia pozostało tylko pójście spać, by następnego dnia mieć siły na ciąg dalszy maratonu sprzątnięcia i biegania po przeróżne zakupy czy inne potrzebne rzeczy. Dzień następny przyniósł porządki u drugiej babci, gdzie dziadek nie jest już, niestety, w stanie pomóc. Ruszyliśmy pełni zapału! Najpierw kuchnia, ale bez przesady bo to jednak będzie główne pole walki podczas Wigilii, więc lepiej nie zmieniać ustawienia sprzętu. Później pokój środkowy, gdzie głównie przebywa dziadek. Nie jest tak łatwo sprzątać pokój, w którym nie można niemalże nic przestawić, jednakże po kolejnych kilku godzinach przyszła kolej na trzeci pokój, pokój gościnny, oraz przedpokój. Koło godziny dziesiątej wieczorem udało się zrobić wszystko, co było do zrobienia – włącznie ze strojeniem choinki. Zmęczeni, ale szczęśliwi wróciliśmy do domu. A tam czekało na nas ostateczne wyzwanie. Na jakieś dwa dni przed świętami w domu panował chaos. Dzieci zajęte pomaganiem babciom, tato zajęty kursowaniem we wszystkie strony oraz robieniem zakupów i oddawaniem przysług, w przerwach chodzący do pracy na osiem godzin, nie znaleźli chwili, by pomóc mamie samotnie zmagającej się z pozostałościami po huraganie, który najwidoczniej przeszedł przez dom jeszcze tego samego dnia. Mimo osamotnienia mama była w stanie zrobić tyle, że jedyne co pozostało, to uporządkowanie rzeczy wyrzuconych przez huragan Maria na środek domu, ogólne sprzątnięcie łazienki, umycie drzwi, odkurzenie domu, umycie podłóg, zmiana bielizny pościelowej, pranie, umycie naczyń i wytarcie kurzy. Kaszka z mleczkiem bądź bułka z masłem – jak kto woli. Z tym, że w tym przypadku kaszka byłaby z cementu, a bułka czerstwa i zamiast masła – tona smalcu. Zdesperowani, ruszyliśmy do straceńczej walki. Pierwszy poległ najmłodszy brat, który już po około półtorej godziny legł nieumyty wśród świeżo przebranej pościeli. Reszta trzymała się jednak dzielnie i kolejny żołnierz padł dopiero koło drugiej, gdy stwierdził, że musząc wstać o szóstej do pracy powinien położyć się „nieco wcześniej”. Zostało już naprawdę niewiele pracy, dlatego później, koło trzeciej, na spoczynek udał się mój starszy młodszy brat i ja. Nie wiem do której walczyła mama, ale faktem jest, że następnego dnia kiedy wstaliśmy około dwunastej, ona jeszcze spała, co nie zdarzało się często, żeby nie powiedzieć prawie nigdy. Zjedliśmy śniadanie pamiętając, by starannie po sobie posprzątać, bo po południu

szliśmy do babci i do domu mieliśmy nie wrócić prawdopodobnie do wczesnych godzin porannych następnego dnia. Po skończonym śniadaniu jedyne, co przychodziło do głowy to odpoczynek, więc spaliśmy niczym nie zmałym snem aż do godziny czternastej trzydzieści, kiedy to wcześniej z pracy wrócił tato ze sporym zielonym drzewkiem, ubranym w igły miast liści. Ubieranie choinki szło mozolnie, powoli, ale kiedy już stanęła przed nami w całej swojej okazałości wszyscy musieli się zgodzić, że to najpiękniejsza choinka jaką kiedykolwiek mieliśmy. Po południu udaliśmy się wspólnie do babci, aby pomóc w bezpośrednich przygotowaniach do wigilijnej wieczerzy. Nikt już nie był zmęczony i każdy robił teraz wszystko, by jak najszybciej przygotować stół wigilijny, potrawy i inne ważne dla naszej rodziny podczas Wigilii rzeczy. Koło siedemnastej przyjechała babcia z Kędzierzyna i można już było zasiadać wspólnie przy stole. I gdy już siedzieliśmy razem w świetnej atmosferze, uświadomiłem sobie coś. Gdyby nie nasz wspólny wkład, nasza pomoc, niektórzy nie siedzieliby tu teraz tak bez troski, zatracając się bez reszty w ciepłej atmosferze rodzinnych świąt. Nasza pomoc, w tym moja, pozwoliły wszystkim tu zebranim cieszyć się tym, co tu i teraz, nie pozostawiając ich z takimi myślami jak: „O matko! Jeszcze odkurzenie, muszę wrócić wcześniej do domu!”. Poza tym sama obecność wnuków na rodzinnej kolacji jest krzepiąca dla dziadków, którzy całe życie zamartwiali się o nas i troszczyli, a którym chcemy odpłacić wszystkim najlepszym, czym możemy.

Tak więc pamiętam ten dzień, kiedy pomogłem dziadkom stać się przez chwilę najszcześliwszymi ludźmi na świecie. Pamiętam ten dzień, kiedy pomogłem mojej mamie pękać z dumy pokazując jej wyniki sprawdzianu. Pamiętam ten dzień, kiedy pomogłem tacie poczuć się lżejszym, gdy odciążyłem go od obowiązków przy piecu. Pamiętam ten dzień, kiedy pomogłem bratu poczuć się najlepszym, kiedy wygrał ze mną pojedynek jeden na jeden w nogę. Pamiętam ten dzień, kiedy mój najmłodszy brat pomógł mi zrozumieć, czym dla mnie jest pomaganie. A jest to dla mnie szacunek do innych ludzi, poświęcanie, a może raczej dzielenie się swoim czasem z drugim człowiekiem. Bo czas to jedyna rzecz, której już nigdy nie odzyskamy. Jest najcenniejszą rzeczą, jaką mamy i jaką możemy podarować drugiemu człowiekowi.